Laura Bellini



Dopóki pachniesz deszczem

Pamiętają każde zranienie.
I każdy powód, by zostać

Dopóki pachniesz deszczem

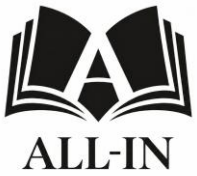
Pamiętają każde zranienie. I każdy powód, by zostać

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900994

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Warunki powrotu 11
Rozdział 2 - Granice zaufania 22
Rozdział 3 - Droga, której nie było na mapie 34
Rozdział 4 - Wszystko, czego nie powiedzieliśmy 45
Rozdział 5 - Prawo do odmowy 59
Rozdział 6 - Zapach deszczu 70
Rozdział 7 - To, co zostaje między słowami 82
Rozdział 8 - Miejsce, do którego wracasz 92
Rozdział 9 - Cena wspólnej decyzji 102
Rozdział 10 - Bez drogi odwrotnej 112
Rozdział 11 - Między nami a światem 123
Rozdział 12 - Słowa, których nie można cofnąć 133
Rozdział 13 - To, czego nie można kupić 144
Rozdział 14 - Prawda, której jeszcze nie umiemy unieść 154
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie miałam prawa powiedzieć 164
Rozdział 16 - Odległość, która ma znaczenie 174
Rozdział 17 - To, co pozostaje, kiedy odchodzimy 183
Rozdział 18 - Bez obietnicy przebaczenia 191
Rozdział 19 - Prawo do własnej historii 200
Rozdział 20 - Powód, by zostać 210

INTRO

Deszcz zaczął padać dokładnie wtedy, kiedy uznałam, że po raz pierwszy od dawna wszystko idzie zgodnie z planem.

Stałam na rozwidleniu szlaków, z mapą rozłożoną na kolanie i termosowym kubkiem w drugiej dłoni. Przede mną, pomiędzy ciemnymi świerkami, znikała w mlecznej mgle wąska ścieżka prowadząca do schroniska Pod Sokolą Skałą. Według mojego harmonogramu powinnam dotrzeć tam przed siedemnastą, porozmawiać z właścicielką, obejrzeć stare fotografie i jeszcze tego samego wieczoru wrócić do pensjonatu w Szklarskiej Porębie. Nazajutrz czekały mnie kolejne dwa miejsca, których historie chciałam ocalić, zanim ktoś zamieni je w modne apartamenty z widokiem na góry.

Miałam czterdzieści jeden lat, dwie opublikowane książki reporterskie i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że rzeczywistość rzadko przejmuje się harmonogramami. Mimo to przygotowałam ten z dokładnością, z której moja przyjaciółka Natalia zwykła się śmiać. Godziny, nazwiska, warianty tras, nawet miejsca, w których mogłam złapać zasięg. Po ostatnich miesiącach spędzonych na poprawianiu cudzych tekstów potrzebowałam projektu, który będzie należał wyłącznie do mnie. Bez redaktora zaglądającego mi przez ramię. Bez kompromisów, na które zgadzałam się ze zmęczenia.

Przede wszystkim bez ludzi, którzy mogliby powiedzieć mi, jak mam opowiadać ich historie.

Złożyłam mapę, wsunęłam ją do kieszeni kurtki i ruszyłam pod górę.

Po dwudziestu minutach wiedziałam już, że skrót zaznaczony na moim wydruku był pomysłem człowieka,

który nigdy nie chodził tędy w październiku. Mokre kamienie ustępowały pod butami, a strumień przecinający ścieżkę niósł znacznie więcej wody, niż sugerowała mapa. Zatrzymałam się przy drewnianym mostku. Jedna z desek pękła wzdłuż, druga przechyliła się niepokojąco nad nurtem.

— Tego nie było w planie — mruknęłam.

— Mostek zwykle nie konsultuje remontów z turystami.

Głos dobiegł zza moich pleców.

Odwróciłam się gwałtowniej, niż zamierzałam.

Mężczyzna stał kilka metrów dalej, z kapturem zsuniętym na plecy i kroplami deszczu spływającymi po ciemnych włosach. Miał na sobie zieloną kurtkę trekkingową, stary plecak i ten rodzaj spokojnej postawy, który pamiętałam aż nazbyt dobrze. Jedną ręką trzymał pasek plecaka. Drugą wsunął do kieszeni.

Przez moment zobaczyłam w nim mężczyznę sprzed siedmiu lat, stojącego przy kuchennym oknie z kubkiem kawy. Potem dostrzegłam siwiznę przy skroniach i kilka nowych zmarszczek. Wyglądał dojrzalej, bardziej surowo. Nie mniej znajomo.

— Marcin.

Wypowiedziałam jego imię tak cicho, jakbym sprawdzała, czy naprawdę potrafię to zrobić.

— Ula.

Nie uśmiechnął się. Nigdy nie lubił mojego pełnego imienia, choć po naszym rozstaniu zaczęłam używać go zawodowo z uporem godnym lepszej sprawy. Urszula Lis brzmiała jak kobieta, która panuje nad własnym życiem. Ula przypominała mi kogoś, kto kiedyś zasypiał z głową na

ramieniu Marcina i wierzył, że nie wszystko musi mieć określony termin przydatności.

— Co ty tutaj robisz? — zapytałam.

Spojrzał na plecak, potem na szlak.

— Pracuję. A ty?

— Też.

— Z aparatem, notatnikiem i miną człowieka, który zamierza wygrać z pogodą?

Zacisnęłam palce na pasku torby. Pamiętał, że nigdy nie umiałam przegrywać z własnymi planami. Pamiętał też, że kiedy byłam zdenerwowana, odpowiadałam pytaniem na pytanie. Najbardziej irytowało mnie jednak to, że wystarczyły trzy zdania, abym znów rozpoznawała w jego głosie różnicę między rozbawieniem a złośliwością.

— Nie wiedziałam, że prowadzisz ludzi również po tej stronie gór.

— Od kilku lat. Dokąd idziesz?

Wymieniłam nazwę schroniska.

Jego spojrzenie zatrzymało się na mojej twarzy.

— Do pani Zofii?

— Znasz ją?

— Tak.

Nie rozwinął odpowiedzi. Marcin zawsze potrafił milczeć w sposób, który zmuszał innych do zadawania kolejnych pytań. Kiedyś uważałam to za przejaw cierpliwości. Później zaczęłam rozumieć, że czasem była to również obrona.

— Mam z nią umówiony wywiad — powiedziałam. — Pracuję nad książką o małych schroniskach w Sudetach.

Coś zmieniło się w jego wyrazie twarzy. Nie złość, jeszcze nie. Raczej ostrożność człowieka, który zauważył znajomy znak ostrzegawczy.

— O historiach ludzi czy budynków?

— Jedno trudno oddzielić od drugiego.

— Właśnie.

To jedno słowo zabrzmiało pomiędzy nami ciężej niż szum strumienia.

Siedem lat wcześniej opublikowałam reportaż, w którym znalazło się kilka zdań wypowiedzianych przez Marcina pewnej zimowej nocy. Nie rozmawialiśmy wtedy przy włączonym dyktafonie. Byliśmy w domu, sami, po dniu, o którym żadne z nas nie chciało później pamiętać. Zapewniałam siebie, że cytat był niezbędny, bo mówił coś ważnego o odpowiedzialności. Marcin uważał, że wykorzystałam jego zaufanie.

Nie umiałam przekonać go do swojej wersji. A później przestał chcieć jej słuchać.

— Nie przyjechałam tutaj po ciebie — powiedziałam.

Natychmiast pożałowałam tych słów.

— Nie przyszło mi to do głowy.

Kłamstwo rozpoznałam po ledwie widocznym ruchu jego ust. Marcin również zrozumiał, że je rozpoznałam. Przez krótką chwilę byliśmy niebezpiecznie blisko dawnego sposobu rozmawiania, w którym każde niedopowiedzenie miało własną historię.

Nad nami zatrzeszczała gałąź. Wiatr przyniósł chłodniejszy deszcz, więc schowałam notatnik głębiej do torby. Marcin podszedł do mostku, obejrzał uszkodzone

deski i wskazał ścieżkę odbijającą w lewo, niemal niewidoczną pod opadłymi liśćmi.

— Tam jest bezpieczne przejście. Dziesięć minut dłużej.

— Na mapie go nie ma.

— Na mapie jest za to ten mostek.

Miał rację, co stanowiło jeszcze jeden powód, by nie podziękować mu zbyt szybko.

Ruszyłam wskazaną ścieżką. Po kilku krokach usłyszałam za sobą jego buty.

— Nie musisz mnie odprowadzać — powiedziałam.

— Nie odprowadzam. Idę do tego samego schroniska.

Zatrzymałam się.

— Dlaczego?

— Zofia poprosiła mnie o pomoc przy projekcie. Chce uporządkować archiwum schroniska, zanim przekaże je następcom. Są tam rzeczy, których nie można po prostu wynieść na stół i sfotografować.

Deszcz spływał mu po policzku. Nie otarł go. Zobaczyłam, że na szyi nadal nosił cienki rzemyk, który kupiliśmy podczas pierwszego wspólnego wyjazdu. Zniknął pod kołnierzem, zanim zdążyłam odwrócić wzrok.

— Nie wspominała, że z kimś współpracuje — powiedziałam.

— Mnie nie wspominała o reporterce.

Przez chwilę słuchaliśmy deszczu. Potem Marcin wskazał drogę otwartą pomiędzy świerkami.

— Możesz wrócić i wybrać inny temat. Albo możemy dojść do Zofii i ustalić, co dalej.

Nie próbował mnie zatrzymać ani przekonać. Ta swoboda zabolała bardziej, niż powinna. Kiedyś walczył o nas z uporem, który brałam za coś oczywistego. Teraz stał przede mną, gotów przyjąć dowolną decyzję.

— Nie zrezygnuję z książki — powiedziałam.

— Nie prosiłem.

Minął mnie i ruszył pierwszy, pozostawiając dość miejsca, żebym mogła iść obok niego albo zostać z tyłu.

Dogoniłam go po kilkunastu krokach.

W lesie pachniało mokrym drewnem i ziemią. Marcin skrócił krok, kiedy ścieżka zrobiła się stroma, ale nie podał mi ręki. Wiedział, że potrafię zejść po śliskich kamieniach sama. Pamiętał to. Tak samo jak ja pamiętałam zapach deszczu na jego kurtce, kiedy po długiej wędrówce wracał do naszego mieszkania i obejmował mnie, zanim zdążył zdjąć mokre ubranie.

Przed nami rozjaśniło się między drzewami. W oddali zobaczyłam dach schroniska i cienką smugę dymu unoszącą się z komina.

Marcin zatrzymał się na skraju polany.

— Ula, zanim tam wejdziemy, musisz wiedzieć jedno.

Spojrzałam na niego.

— Nie zgodzę się, żeby czyjakolwiek historia została opublikowana bez jego świadomej zgody. Nawet jeśli będzie przez to mniej efektowna.

Mogłam odpowiedzieć zawodowym argumentem. Powiedzieć, że reportaż nie jest tekstem autoryzowanym przez bohaterów, że prawda bywa niewygodna, że nie każde zdanie wymaga pozwolenia. Znałam te argumenty doskonale.

Ale Marcin nie mówił o zasadach dziennikarstwa.

— Rozumiem — odparłam.

Przyglądał mi się przez dłuższą chwilę, jakby sprawdzał, czy za tym słowem stoi cokolwiek więcej niż uprzejmość.

— Naprawdę?

Za jego plecami w oknach schroniska zapalały się pierwsze światła. Miałam przed sobą temat, na który czekałam od miesięcy, i człowieka, którego nie potrafiłam zapomnieć przez siedem lat.

A jednak najbardziej bałam się nie tego, że znów mnie odrzuci.

Bałam się, że tym razem będę musiała naprawdę zrozumieć, dlaczego odszedł.

— Nie wiem jeszcze — odpowiedziałam. — Ale chcę.

Marcin przez moment milczał. Potem skinął głową i otworzył furtkę prowadzącą do schroniska.

Zostałam na ścieżce o sekundę dłużej, z deszczem na twarzy i pytaniem, którego nie odważyłam się wypowiedzieć: jeśli wciąż pamiętaliśmy każde zranienie, czy potrafiliśmy jeszcze znaleźć choć jeden powód, żeby zostać?

Rozdział 1 - Warunki powrotu

W schronisku pachniało palonym bukiem, mokrą wełną i zupą grzybową. Przekroczyłam próg za Marcinem, usiłując strząsnąć z ramion deszcz i jednocześnie nie myśleć o tym, jak niebezpiecznie znajome było uczucie wchodzenia razem z nim do ciepłego pomieszczenia. Dawniej podobne wieczory kończyły się przy jednym stole, z jego dłonią opartą na moim kolanie i rozmowami przeciągającymi się do późnej nocy. Tym razem dzieliło nas kilka kroków, siedem lat milczenia i zdanie wypowiedziane na szlaku, którego znaczenia żadne z nas nie zamierzało udawać, że nie rozumie.

Za drewnianą ladą stała drobna kobieta o siwych włosach związanych czerwoną chustką. Uniosła głowę znad rachunków i uśmiechnęła się na nasz widok.

— No, nareszcie. Już myślałam, że góra postanowiła was zatrzymać.

— Mostek jest uszkodzony — powiedział Marcin, zdejmując plecak. — Trzeba zamknąć tamto przejście, zanim ktoś spróbuje iść nim po ciemku.

— Jutro zawieszę informację.

— Dzisiaj. Mam taśmę w samochodzie, tylko muszę zejść niżej.

— Najpierw zjedz. Zawsze najpierw ratujesz wszystkich, a potem przypominasz sobie, że masz żołądek.

Przyjęłam do wiadomości sposób, w jaki ze sobą rozmawiali. Bez ceremonialności, bez potrzeby wyjaśniania, kim dla siebie byli. Marcin znał to schronisko tak dobrze, jak

kiedyś znał wszystkie moje przyzwyczajenia. Nie pytałam, od kiedy.

— Pani Zofia? — odezwałam się.

Kobieta wyszła zza lady, wytarła dłonie o fartuch i przyjrzała mi się z wyraźnym zainteresowaniem.

— Pani Urszula. Myślałam, że będzie pani wyższa.

— A ja, że schronisko będzie mniejsze.

Roześmiała się serdecznie.

— To już mamy po jednym rozczarowaniu. Chodźcie, pokażę wam pokój.

Zatrzymałam się przy słowie „wam".

— Przepraszam, chyba zaszło nieporozumienie. Przyjechałam przeprowadzić wywiad i obejrzeć materiały. Mam już zarezerwowany nocleg w Szklarskiej Porębie.

— W taką pogodę? — Zofia spojrzała na okna, za którymi zapadał zmrok. — Kochana, choćbym miała tu panią zatrzymać siłą...

— Zosiu — wtrącił Marcin.

— No dobrze, bez siły. Niech będzie prośba.

Nie umiałam nie odpowiedzieć uśmiechem. Była w tej kobiecie bezpośredniość, która w innych okolicznościach mogłaby mnie drażnić, ale tutaj pasowała do ciężkich stołów, starych map i psa śpiącego przy kominku. Zofia zaprowadziła nas do niewielkiego pomieszczenia za jadalnią. Na środku stał stół zastawiony kartonami, metalowymi pudełkami i oprawionymi fotografiami. Nad nim wisiała czarno-biała panorama gór sprzed kilkudziesięciu lat.

— To jest dopiero początek — powiedziała z dumą. — Reszta leży na strychu. Mąż zbierał wszystko, czego inni

chcieli się pozbyć. Kartki, listy, stare zeszyty meldunkowe. Marcin mówi, że część trzeba oddać do archiwum, a część można pokazać ludziom.

Sięgnęłam po fotografię przedstawiającą kilku turystów stojących przed drewnianym budynkiem. Na odwrocie ktoś zapisał datę i nazwiska. Atrament wyblakł, ale podpis pozostał czytelny.

— To wspaniały materiał — powiedziałam. — Takie zdjęcia pozwalają pokazać, jak zmieniało się życie tych miejsc. Mogłabym zacząć od historii pani rodziny, a później przejść do pozostałych schronisk.

— O tym właśnie chcieliśmy porozmawiać — odparła Zofia.

Spojrzałam na nią uważniej.

— My?

Marcin odsunął krzesło, lecz nie usiadł.

— Zofia chce przygotować archiwum opowieści o kilku małych schroniskach. Nie tylko książkę. Nagrania, zdjęcia, wspomnienia dawnych pracowników. Coś, co zostanie na miejscu i będzie dostępne także wtedy, kiedy właściciele się zmienią.

— Świetny pomysł — odpowiedziałam. — Ale ja nie zajmuję się tworzeniem archiwów. Piszę reportaże.

— Wiem, czym się zajmujesz.

Jego głos pozostał spokojny. Właśnie dlatego poczułam ukłucie gniewu.

— W takim razie wiesz również, że materiału do książki nie zbiera się według cudzej listy kontrolnej.

— A ty wiesz, że wspomnienia ludzi nie istnieją wyłącznie po to, żeby stały się materiałem.

Zofia spojrzała na jedno, potem na drugie.

— Dzieci, może herbaty?

Nie poprawiłam jej. Marcin miał czterdzieści pięć lat, ja czterdzieści jeden, ale przez chwilę rzeczywiście zachowywaliśmy się jak dwoje nastolatków kłócących się o to, kto pierwszy usiądzie przy oknie.

— Chętnie — powiedziałam.

Zofia wyszła, zostawiając nas samych.

Marcin podszedł do stołu i przesunął pudełko, żeby zrobić miejsce mojej torbie. Ten prosty gest zdenerwował mnie bardziej niż jego wcześniejsza uwaga. Pamiętał, że nie lubiłam stawiać sprzętu na podłodze. Pamiętał drobiazgi, choć najwyraźniej chciał zapomnieć wszystko inne.

— Nie wiedziałeś, że tu przyjadę? — zapytałam.

— Nie.

— Zofia nie powiedziała ci mojego nazwiska?

— Powiedziała, że znalazła reporterkę, której książka o starych pensjonatach bardzo jej się podobała. Nie pytałem o nazwisko.

— A powinieneś?

Podniósł wzrok.

— Teraz sądzę, że tak.

Nie było w tej odpowiedzi nic obraźliwego. Mimo to poczułam, jak przez chwilę tracę pewność siebie. W moim planie wszystko było proste: rozmowy, dokumentacja, kilka tygodni pracy i książka, którą od dawna chciałam napisać.

Obecność Marcina nie zmieniała wartości tematu. Zmieniała natomiast cenę, jaką mogłam zapłacić za jego realizację.

— Mam już ustalone terminy w czterech miejscach — powiedziałam. — Zebrałam wstępne materiały, podpisałam umowę na przygotowanie publikacji i nie zamierzam zaczynać od początku.

— Nikt tego od ciebie nie wymaga.

— Właśnie przed chwilą usłyszałam, że mam pracować według zasad, których ze mną nie uzgodniono.

— Usłyszałaś, że ludzie mają mieć wpływ na to, co stanie się z ich prywatnymi wspomnieniami.

— To nie jest to samo co kontrolowanie tekstu.

Marcin przez moment patrzył na mnie w milczeniu.

— Dla ciebie może nie.

Wtedy zrozumiałam, że nie spieraliśmy się wyłącznie o przyszłą książkę. Wróciliśmy do rozmowy, której nie potrafiliśmy zakończyć siedem lat wcześniej. Tyle że tym razem oboje wiedzieliśmy, dokąd może nas zaprowadzić.

— Nie będę broniła każdego zdania, które kiedykolwiek napisałam — powiedziałam ciszej.

— Nie prosiłem cię o to.

— Ale oceniasz mnie właśnie przez jedno z nich.

Jego szczęka napięła się ledwie zauważalnie.

— Nie przez jedno zdanie, Ula. Przez decyzję.

Zofia wróciła z tacą, zanim zdążyłam odpowiedzieć. Postawiła przed nami trzy kubki herbaty i talerz z chlebem oraz serem. Usiadła przy stole z miną kobiety, która doskonale wiedziała, że weszła w środek kłótni, ale nie

zamierzała pozwolić, by przeszkodziło jej to w załatwieniu własnych spraw.

— Słuchajcie. Nie mam już siły prowadzić tego wszystkiego sama. Wiosną schronisko przejmie moja siostrzenica. Zostanie tutaj część pamiątek, ale reszta musi zostać uporządkowana. Są ludzie, którzy chcą opowiedzieć o dawnych czasach, tylko nie wiedzą, do kogo się zwrócić. Pani Urszula potrafi pisać. Marcin zna schroniska, szlaki i tych wszystkich upartych gospodarzy. Mnie się wydaje, że moglibyście zrobić coś naprawdę dobrego.

— Moglibyśmy — powiedziałam ostrożnie. — Jeżeli ustalimy zasady.

— Właśnie o to mi chodzi.

Marcin sięgnął po kubek.

— Potrzebuję pewności, że nikt nie zostanie postawiony przed faktem dokonanym. Żadne prywatne listy ani nagrania nie trafią do publikacji bez zgody ich właścicieli. A jeżeli ktoś opowie coś wyłącznie do archiwum, to tam zostanie.

— Mogę rozdzielić dokumentację od materiału reporterskiego — odparłam. — Ale nie zgodzę się na autoryzowanie całej książki przez każdego rozmówcę.

— Nie żądam tego.

— A kto decyduje, co jest prywatne?

— Człowiek, który ci to powierza. Zanim odda ci tę historię.

Zofia odstawiła herbatę.

— To brzmi rozsądnie.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

— Pani Zofio, w reportażu pojawiają się czasem fakty, których bohaterowie woleliby nie pamiętać. Nie mogę obiecać, że każda opowieść będzie wygodna.

— I nie chcę tego. Mój mąż potrafił być okropnie nieznośny. Niech pani to napisze, jeśli trzeba. Tylko niech mi pani nie wyciąga z szuflady jego listów do mnie dlatego, że byłyby ładnym zakończeniem rozdziału.

Zamilkłam.

W tej prośbie było coś, czego nie mogłam sprowadzić do zawodowej dyskusji. Zofia nie próbowała kontrolować historii. Chciała zachować prawo do części własnego życia.

— Rozumiem — odpowiedziałam.

Marcin spojrzał na mnie, lecz tym razem niczego nie skomentował.

Przez następne pół godziny rozmawialiśmy o konkretnych możliwościach. Zaproponowałam stworzenie dwóch zbiorów: dokumentacyjnego, pozostającego pod opieką właścicieli schronisk, oraz reporterskiego, z którego mogłabym korzystać na podstawie uzgodnionych zgód. Zofia miała wskazać pierwszych rozmówców, a Marcin pomóc w kontakcie z osobami, które nie używały poczty elektronicznej i rzadko schodziły do większych miejscowości.

Kiedy rozłożyłam harmonogram, Marcin nachylił się nad stołem.

— Tego nie zrobisz w jeden dzień.

— Dlaczego?

Wskazał trzy punkty.

— Tutaj droga po opadach jest zamykana. Tutaj właściciel przyjmuje gości tylko do czternastej. A tutaj mieszkająca na

miejscu pani Helena nie rozmawia z nikim w poniedziałki, bo wtedy jeździ do córki.

— Mogłam to ustalić telefonicznie.

— Oczywiście.

— Nie musisz brzmieć tak zadowolony.

— Nie jestem zadowolony. Zastanawiam się, jak powiedzieć ci o czwartym błędzie, żebyś nie rzuciła we mnie długopisem.

Spojrzałam na długopis trzymany w dłoni. Dopiero wtedy zauważyłam, że naprawdę zaciskałam go między palcami.

Marcin uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru.

Był to krótki, nieostrożny uśmiech. Taki, który dawniej pojawiał się na jego twarzy, kiedy udało mu się wyprowadzić mnie z równowagi, a potem przekonać, że powinnam się z tego śmiać. Przez jedną nieznośnie długą chwilę nie widziałam przed sobą człowieka, który mi nie ufał. Widziałam mężczyznę, którego kiedyś kochałam.

Odwróciłam wzrok do harmonogramu.

— Powiedz o czwartym.

Tym razem nie było żartu. Wyjaśnił mi, że właścicielka jednego ze schronisk planuje zamknięcie obiektu na trzy tygodnie ze względu na remont instalacji. Nie miałam tej informacji, chociaż jeszcze poprzedniego dnia rozmawiałam z jej synem. Zaznaczyłam zmianę i przez moment poczułam niechętną wdzięczność. Marcin nie tylko znał te miejsca. Zwracał uwagę na ludzi, ich zwyczaje i potrzeby, których nie obejmowały żadne formularze.

Kiedy skończyliśmy, Zofia przyniosła obiad, mimo że dawno minęła pora, o której zwykłam jadać. Za oknem deszcz osłabł, ale w ciemności nie było już widać nawet

skraju polany. Sprawdziłam telefon. Ostatnie połączenie z siecią nastąpiło niemal godzinę wcześniej.

— Mogę skorzystać z waszego telefonu? — zapytałam. — Muszę powiadomić pensjonat, że nie wrócę dzisiaj na noc.

— Oczywiście. I przygotuję pani pokój. Nie będę nawet udawała, że pozostawię pani wybór pomiędzy ciepłym łóżkiem a marszem po mokrym lesie.

Marcin podniósł głowę.

— Jeżeli chcesz, mogę rano odprowadzić cię do parkingu.

— Poradzę sobie.

— Wiem.

Odpowiedział bez śladu urazy. Właśnie to wytrącało mnie z równowagi. Nie próbował udowadniać, że nadal go potrzebuję. A przecież pamiętałam lata, kiedy był pierwszą osobą, do której dzwoniłam po każdym dobrym i złym dniu.

Później, gdy Zofia wyszła przygotować pościel, zostaliśmy na chwilę sami przy stole. Marcin zbierał fotografie do pudełka, ja układałam notatki. Zauważyłam, że zostawił jedną odbitkę na wierzchu. Przedstawiała młodą kobietę stojącą na schodach schroniska z naręczem drewna. Na odwrocie widniał podpis: „Maria, zima 1984. Pierwszy rok bez drogi".

— Znasz jej historię? — zapytałam.

— Trochę.

— Chciałabym ją usłyszeć.

— Zapytaj najpierw Zofię. To jej siostra.

Nie podobało mi się, że kolejny raz musiałam przyjąć jego warunek. Jednocześnie coś w tym zdjęciu nie pozwalało mi

odłożyć go bez zainteresowania. Dziewczyna wyglądała na zmęczoną, ale uśmiechała się szeroko, jakby właśnie zrobiła coś, z czego była bardzo dumna.

— W porządku — powiedziałam. — Zapytam.

Marcin zamknął pudełko.

— Jutro o dziewiątej możemy omówić resztę.

— O ósmej.

— O dziewiątej Zofia będzie po dostawie. O ósmej potrzebuje spokoju.

— W takim razie o dziewiątej.

Sięgnęłam po torbę, lecz zatrzymał mnie jego głos.

— Ula.

Odwróciłam się.

Stał przy stole, ze światłem lampy padającym na twarz. Dostrzegłam zmęczenie, które wcześniej ukrywał za spokojem. Przez chwilę miałam wrażenie, że powie coś prywatnego. Że może zapyta, jak żyłam przez ostatnie lata, albo wspomni nasze mieszkanie, w którym zostawił kiedyś książkę o tatrzańskich szlakach.

— Nie jestem tutaj po to, żeby utrudniać ci pracę — powiedział.

— A ja nie jestem tutaj po to, żeby ponownie cię zranić.

Wypowiedziałam to szybciej, niż zamierzałam.

Nie odpowiedział od razu.

— Dobrze byłoby, gdybyśmy oboje potrafili tego dotrzymać.

Zabrał kurtkę i wyszedł do jadalni.

Pozostałam sama z otwartym notesem i uczuciem, którego nie umiałam nazwać. Nie był to wyłącznie żal ani gniew. Przez cały wieczór Marcin traktował mnie jak osobę, której kompetencje szanuje, lecz intencjom nie ufa. A kiedy uśmiechnął się nad moim harmonogramem, przez sekundę zapomniałam, że kiedykolwiek było między nami inaczej.

Przesunęłam palcem po zapisanych nazwach schronisk. Mój projekt właśnie stał się trudniejszy, niż przewidywałam. Nie zamierzałam jednak z niego rezygnować. Wiedziałam też, że jeśli Marcin pozostanie jego częścią, będę musiała nauczyć się rozmawiać z nim bez chowania się za zawodowymi argumentami.

Nie miałam pojęcia, czy on będzie chciał zrobić to samo.

Kiedy zgasiłam lampę nad stołem, przez uchylone drzwi zobaczyłam go przy kominku. Rozmawiał z Zofią, cierpliwie słuchając jej opowieści, a ona poprawiała mu kołnierz, jakby nadal był chłopcem, którego trzeba przypilnować przed wyjściem na mróz.

Wtedy po raz pierwszy pomyślałam, że przez siedem lat nie tylko straciłam Marcina.

Straciłam również możliwość poznania człowieka, którym się stał.

I nie byłam pewna, czy bardziej chciałam odzyskać tę możliwość, czy przed nią uciec.

Rozdział 2 - Granice zaufania

Obudziło mnie skrzypienie podłogi i zapach świeżo pieczonego chleba. Przez kilka sekund nie pamiętałam, gdzie jestem. Drewniany sufit znajdował się niżej niż w moim mieszkaniu, za oknem przesuwały się strzępy mgły, a na krześle wisiała kurtka, której nie zdążyłam porządnie wysuszyć. Dopiero kiedy usłyszałam odgłos naczyń dobiegający z jadalni, przypomniałam sobie wczorajszy wieczór. Schronisko. Zofia. Marcin. Naszą rozmowę o granicach, które oboje najwyraźniej potrafiliśmy wyznaczać znacznie łatwiej, niż ich przestrzegać.

Telefon pokazywał siódmą dwadzieścia. Miałam kilka wiadomości od Natalii, jedną od redaktorki prowadzącej moje poprzednie książki i automatyczne przypomnienie o terminie przesłania wstępnego planu nowej publikacji. Zignorowałam wszystko poza Natalią.

„Dotarłaś? Nie odpisujesz. Mam dzwonić po GOPR czy wystarczy, że zacznę się martwić?"

Odpisałam, że dotarłam, nocowałam w schronisku i spotkałam Marcina.

Trzy kropki pojawiły się niemal natychmiast.

„TEGO Marcina?"

„Znasz jakiegoś innego?"

Telefon zadzwonił, zanim zdążyłam odłożyć go na stolik.

— Nie możesz po prostu napisać mi czegoś takiego i udawać, że to normalny poranek — oznajmiła Natalia bez powitania.

Przesunęłam dłonią po włosach.

— Dla mnie też nie był szczególnie normalny.

— Jak wygląda?

— Natalia.

— Pytam jako osoba, która przez dwa lata wysłuchiwała twoich zapewnień, że już zupełnie cię nie obchodzi.

— Wygląda dobrze.

— Czyli fatalnie.

Usiadłam na łóżku i spojrzałam przez okno. Na kamiennym murku przed schroniskiem siedział kos, dziobiąc coś między mokrymi liśćmi.

— Będziemy razem pracować — powiedziałam.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

— Ula, jesteś pewna, że to rozsądne?

— Jeszcze nie.

— To może pierwszy raz w życiu zastanów się nad tym, zanim podpiszesz jakiekolwiek zobowiązanie.

Uśmiechnęłam się mimo woli. Natalia była jedną z niewielu osób, które nigdy nie traktowały mojego uporu jak zalety samej w sobie.

— Wczoraj już zaczęliśmy ustalać zasady.

— Zasady pracy czy zasady nierozmawiania o tym, co wydarzyło się siedem lat temu?

— Przede wszystkim pracy.

— Rozumiem. Czyli o reszcie będziecie rozmawiać wtedy, kiedy któreś z was straci cierpliwość.

Nie odpowiedziałam. Natalia westchnęła.

— Nie musisz przed nim uciekać. Ale nie musisz też udowadniać, że wszystko potrafisz wytrzymać.